

Marek Hłasko

Dom mojej matki

Moja matka była starą i brzydką kobietą. Nie mógłbym nawet silić się na opisanie jej twarzy; zdaję sobie sprawę, że twarz ta nie zachowała nic ze swojej prawdy: tak dzieje się często z ludźmi bardzo schorowanymi i zniszczonymi przez przeżycia ponad skromne ich siły.

Patrzyłem, jak gasła moja matka. Były to jedyne chwile mego życia, kiedy czułem się zupełnie bezsilny; tak bezsilny, jak tylko może się czuć człowiek, który uprzytomni sobie, że zawsze może iść z czasem naprzód, lecz nigdy go powstrzymać. Trwało to jednak krótko; potem zrozumiałem, że człowiek, który chciałby powstrzymać czas, jest w takiej sytuacji, jakby wsadził dłoń w górski strumień i czując jej drżenie, myślał, że tamą jest jego dłoń.

Mówiłem wtedy:

— Nie martw się, mammo! Wszystko będzie dobrze i będziesz mieć swój dom. Przecież wiesz, że nikogo na świecie nie kocham bardziej od ciebie...

Wiem, że matka moja nie była nigdy kochana przez żadnego mężczyznę: małżeństwo jej z moim ojcem nie należało do szczęśliwych. Prawie już nie pamiętam ojca, lecz z opowieści wiem, że przez całe życie paliło mu się pod czaszką. Był to jednak zimny ogień inteligenta, który nie daje nic prócz blasku. W pewnym momencie swego życia ojciec mój wypalił się; potem już jego serce i myśli przypominały patyczek choinkowy, na którym zwęgliła się owa minimalna ilość substancji chemicznych dająca silny i piękny blask. Resztę życia spędził na szukaniu usprawiedliwień dla samego siebie; stał się gorzki i niesprawiedliwy wobec każdego.

Moja matka rzekła mi kiedyś:

— Nie jesteś dzieckiem urodzonym z wielkiej miłości. Z twoim ojcem pobraliśmy się dlatego, że myśleliśmy, iż będziemy sobie potrzebni. Pamiętaj, abyś nigdy nie wierzył w takie rzeczy; nie wolno ci! Ludzie, którzy myślą, że z czasem dopiero staną się sobie potrzebni, powinni odejść od siebie i zapomnieć kroków, które ich wiodły ku sobie.

Bardzo mnie to wtedy zabolalo. Gdy się dowiedziałem, że moi rodzice nie byli złączeni miłością, bez której w wyobraźni mojej nie mogło być nic stałego, uczułem momentalnie ssącą pustkę i przez długie miesiące nie opuszczała mnie myśl, że właściwie nie jestem nikomu potrzebny. Zdawało mi się, że ludzie tacy jak ja — nie powinni żyć.

— Po co mi to mówisz, mammo? — rzekłem wtedy. — Mam osiemnaście lat i gotów byłbym zabić za każdy listek oderwany z drzewa moich marzeń...

— Uchnie szybko twoje drzewo, jeśli nie będziesz wiedział, że zdarzają się burze i grady...

Dziś nie mam już osiemnastu lat; bardziej nad burze i grady pragnąłbym drętwej ciszy południa. Wtedy jednak ciężko mi było dzień po dniu przeżywać z człowiekiem, który nie był kochany; tym ciężiej, że człowiekiem tym była przecież moja matka. Goryczy dodawała mi myśl, że matka moja nie pragnie już cierpień, miłości ani walki; wielkiej goryczy dodawała mi myśl, że jedynym pragnieniem jej życia jest mały, własny, kolorowy domek na przedmieściu.

— Mammo! — mówiłem. — Przecież to straszne dla mnie, że ty marzysz tylko o własnym domku i o niczym już więcej. Jakże mam cię kochać? I dlaczego tylko tyle? Jesteś przecież dobrym człowiekiem i wiem, że potrafisz kochać; ja to wiem najlepiej! Nie mogę cię jednak wcale zrozumieć... Są kraje, w których miliony ludzi znajdują się bez dachu nad głową i bez kawałka chleba, miliony głodnych i nieszczęśliwych ludzi. Mało... Nie wiadomo, czy ci ludzie, którzy mają dziś dach nad głową, jutro nie zostaną bez niego. Jakich wymiarów wobec tych spraw nabiera twoje marzenie? To żalosne, mammo... Czy naprawdę widzisz teraz uczciwe miejsce na twoje marzenie? — Każde marzenie — odpowiadała mi matka — jest uczciwe. Samo słowo m a r z e n i e jest uczciwe. Nieuczciwe mogą być myśli, pragnienia, dążenia,

lecz marzenie pozostanie, czyste, nawet wtedy, kiedy inni wdepczą ci je w błoto... Pomyśl: będziemy mieć własny dom. Będzie ci źle, będą cię zdradzać i wyszydzać ludzie, wtedy wrócisz do naszego domu i powiesz tylko: "To jest nasz dom". Świat wyda ci się inny, jeżeli spojrzysz nań przez okno naszego domu.

— Nie chcę mieć takiego domu — mówiłem łykając gniew — w którym musiałbym kryć się przed światem i przed ludźmi. To nie dom, to skorupa. Brzydzą się skorupa.

O, nie było doprawdy argumentu, którego bym nie użył. Mówiłem o trudzie tych, którzy budują od podstaw nowe życie, o tysiącach nowych domów; przynosiłem dziesiątki gazet, moje radio znienawidzili sąsiedzi, staruszka mieszkająca przez ścianę nie odpowiadała na moje ukłony; przestałem mówić zwykłym ludzkim głosem, tylko ryczałem, przybierałem teatralne pozy: to wszystko było przecież moją prawdą i robiłem wszystko, co mogłem, aby zrozumiała ją także moja matka. Lecz wszystko na próżno — ten przeklęty, kolorowy domek na przedmieściu był wbity jak dziesięciocalowy gwóźdź w drzewo marzeń mojej matki. Swoje słowa czułem niby odbijające się piłeczki i w sercu moim coraz bardziej rozlewała się gorączka. Bywałem niedobry i niesprawiedliwy dla matki; potem oczywiście czyniłem wszystko, by to odrobić, dzięki czemu nasze ciche dotąd życie we dwójkę stało się łodzią żeglującą po niespokojnej wodzie. Lecz aby płynąć, musieliśmy wiosłować we dwójkę.

Chodziłem czasem na przedmieście i wałęsałem się godzinami po piaszczystych i krzywych uliczkach, gdzie przycupnęły małe domki. Doszedłem do tego, że patrzyłem na nie z nienawiścią i z nienawiścią także myślałem o sobie, że mały ten domek w jakimś sensie przesłania mi widok na ogromny mój świat. Lecz nie mogłem go zburzyć. Ohydne były dla mnie słoneczniki i zielone sztachetki, klomby i spacerujące po nich kury, radośnie umorusane dzieci i koty leżące w słońcu. Pogardałem każdym z tych ludzi mieszkających w kolorowych domkach na peryferiach naszego miasta. Gdyby to zależało ode mnie, zabroniłbym budować takie domki. Myślałem wtedy o strasznej sile, jaką jest ludzkie przyzwyczajenie. Zabroniłbym budować takie domki, gdyż zdawało mi się, że ci, którzy w nich mieszkają, nie wiedząc o tym, sami pozbawiają się rzeczy o wiele większych.

"O, mamie — myślałem — łatwiej chyba zbudować sobie nieśmiertelność niż porozumieć się z drugim człowiekiem".

Kiedy przebywałem na przedmieściu — a przebywałem dość często, gdyż jestem z natury łazęgą — drażniło mnie nawet powietrze ciągnące od wilgotnych pól zza rzeki. Czyste poranki i łagodne, pełne mgieł zachody słońca budziły we mnie pogardę, jaką mam dla kiczu. Kiedyś — była to niedziela — zobaczyłem dziada siedzącego w kalesonach na progu. Mrużył oczy od słońca i leniwie przebierał palcami po klawiszach, gdyż trzymał na kolanach harmonię. "Oto — pomyślałem dygocąc ze wściekłości — przeżytek". Zwróciłem mu uwagę; grzecznie powiedziałem, że nasze miasto jest wielkim miastem i on jako jego mieszkaniec... i tak dalej. Dziad spojrział na mnie sennie, potem zawołał swoich trzech synów wyglądających bardzo po junacku, a ci obeszlili się ze mną brutalnie. Kiedy na czworakach wycofywałem się z placu boju, dziad otworzył jedno oko i rzekł:

— Mocnych demokracja zamkneła...

To zraziło mnie na jakieś dwa tygodnie, lecz potem znów wałęsałem się po przedmieściu. Wydawało mi się, że gdzieś tam właśnie tkwi jakaś siła magnetyczna, którą znają wszyscy ludzie prócz mnie.

— Czy nie widzisz — mówiłem do matki — tych wszystkich pięknych białych domów? Nie widzisz tych ulic? Masz oczy, lecz nie masz serca i dlatego twoje oczy są ślepe.

— Oczy moje są ślepe dlatego — mówiła matka — że nie widzę mojego małego, własnego domu. To wszystko.

— Czy jest ci źle żyć? Nie wierzysz ludziom? Nie wierzysz nam?

— W cóż mogłabym wierzyć, jeśli nie w czyste ręce swego dziecka?

— Więc dlaczego? Dlaczego się nie cieszysz? Nie jesteś głodna i nie jestem dla ciebie złym dzieckiem; sama to przyznajesz, nawet wtedy, gdy milczysz, wiem o tym... Ale chociaż jestem twoim synem, nie może mnie wzruszać twój smutek, że nie masz własnego, małego domku na przedmieściu, kiedy widzę radość innych ludzi, wprowadzających się do wielkich, wspólnych domów. Mamo, przestań...

Matka moja umarła. Umarła nie dlatego, że nie spełniła swych pragnień, lecz dlatego, że była starą i schorowaną kobietą. Jej ostatnie słowa nie były skargą, że nie doczekała małego, własnego domku, lecz życzeniem szczęścia dla mnie.

Ja pozostałem. Żyję i dalej cieszę się widok jasnych, wielkich domów. Wiem, że mieszczą one w sobie również wiele pragnień, cierpień, na pewno o wiele większych i słuszniejszych od tych, które miała moja matka.

Lecz czasem ciężko mi żyć: właśnie wtedy, kiedy przechodzę obok takich wielkich, jasnych domów, a także kiedy nocami wałęsam się po krzywych i piaszczystych uliczkach przedmieścia, gdyż z natury swej jestem włóczęgą. Pogodziłem się już z owym dziadem, opowiada mi on czasem o wszystkich najwspanialszych rzezimieszkach, jacy deptali te ulice, i oczy jego są pełne marzenia.

Tak, jest mi ciężko, gdy patrzę, w oświetlone lub ślepe — nocą — okna każdego domu. Lecz najbardziej smutno mi, gdy idę wieczorem nad Wisłą i widzę odbijające się w wodzie światła: ulic, domów i gwiazd.

Bo pamiętam, że matka moja chciała, aby jej mały, własny, kolorowy dom — stał nad rzeką.

1954